

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY PO PERU KROKODYLE W TUMBEZ

przez Jana Sztolcmana

Wszechświat Tom I – Rok 1882



Ryc. 1. Jan Sztolcman. Fot. domena publiczna.

W Styczniu 1876 r. udaliśmy się razem z p. Konstantym Jelskim do Tumbezu na północnym pograniczu Peru, gdzie pragnęliśmy bawić aż do Kwietnia, aby z nastaniem pory suchej, poczynając się w Maju. wyruszyć w góry, do lasów zapadłej prowincji Jaen. Gdy jednak okazało się, że Tumbez wymaga dłuższej, niż czteromiesięczna, eksploracji, przedłużyliśmy pobyt nasz aż do końca Lutego 1877 r. Przez ten rok pobytu mieliśmy wielokrotną sposobność obserwowania zbliżonych krokodyli, a rezultat naszych spostrzeżeń stanowić będzie treść niniejszego artykułu. Dobrze jednak będzie dać krótką wzmiankę o położeniu okolicy.

Tumbez – główne miasto prowincji tegoż nazwiska – jest najbardziej ku północy wysuniętym portem peruwijańskim. Rzeka Tumbez, nad którą leży miasteczko, bierze początek w Kordyljerach Ekwadorskich i wpada pod 3° szerokości południowej do zatoki

Guayaquilskiej. Samo miasteczko leży w górze rzeki o 6 wiorst od jej ujścia, liczyć zaś może jakie półtora tysiąca mieszkańców. Przy ujściu rzeki znajdują się dwie nędzne osady – Cucaracha i Santa-Lucia, z których pierwsza, jako letnia rezydencja kapitana portu, uważana jest za port Tumbezu. Rzeka tworzy w tem miejscu całą sieć kanałów, oddzielających liczne wyspy i wysepki, gęsto porośnięte manglami (*Rhizophora mangle*). Ku ujściu w bezpośrednim sąsiedztwie morza ciągną się długie, a niskie wydmy piaszczyste, zawałone martwym drzewem, jakie morze wyrzuca w czasie wielkich przyprawów.

Krokodyle trzymają się tylko części rzeki, zawartej między ujściem i miasteczkiem, powyżej bowiem tego ostatniego góry ściskają jej łożę, skutkiem czego jej prąd nabiera takiej siły, jakiej krokodyle widocznie nie lubią. Głównym siedliskiem krokodyli jest delta rzeki porośnięta manglami, tam bowiem ryby morskie, w wielkiej mnogości do kanałów rzeki wpływające, zapewniają im obfitą i łatwą zdobycz.

Krokodyl, o którym mowa, należy do gatunku *Crocodylus occidentalis* przed kilku zaledwie laty opisanego, a różni się od zwykłego gujańskiego i brazylijskiego krokodyla (*Crocodylus acutus*) liczbą zębów i liczbą grzebieniastych łusk na grzbiecie. Są to jednak szczegóły, mogące zwrócić tylko uwagę specjalisty, dla zwykłego zaś spostrzegacza oba te gatunki są prawie zupełnie do siebie podobne. Krokodyl w mowie będący dochodzi olbrzymich rozmiarów. Okaz, przez nas tutejszemu gabinetowi zoologicznemu ofiarowany jest ok. 4,20 met. długi, a nie należy bynajmniej do największych; sam widziałem osobniki blisko o cały metr dłuższe, a zapewniał nas niejaki Ortiz, ekwadorczyk, że w jeziorach, okalających rzekę Zarumilla, na granicy Peru i Ekwadoru, trafiają się krokodyle aż do 6½ metrów długie. Mają to być kolosy, których walcowate ciało posiada metr średnicy. Wielkie to zwierzę, jak się zdaje rozpowszechnione we wszystkich rzekach ekwadorskich, uchodzących do Oceanu Spokojnego, zamieszkuje tylko trzy rzeki zachodniego Peru, a mianowicie Tumbez, La Chirę i Zarumillę, z których ostatnia stanowi linię graniczną między Peru i Ekwadorem. Godne jest uwagi, że krokodyle w rzekach Guayaquilu i La Chirze należą do bardzo niebezpiecznych, gdy tymczasem w Tumbezie nie zauważono ani jednego wypadku śmierci, spowodowanej

przez tego gada. Kapitan portu, człowiek jak się zda-
je wiarogodny, upewniał nas, że przez lat 14 jak za-
mieszkuje w Tumbecie nie zdarzyło się nic takiego,
coby mogło zdradzać jakkolwiek chociażby zamiar
krokodyla atakowania człowieka. Opowiadano nam,
że pewien pijany marynarz rzucił się naumyślnie do
wody w miejscu, gdzie kilku krokodyli pływało, aby
się przekonać, czy mu co zrobią i wyszedł z tej próby
szczęśliwie. Toteż w miasteczku, pomimo sąsiedztwa
tych niebezpiecznych stworzeń, dzieci całymi dniami
kąpią się w rzece z całą pewnością, że im się nic złe-
go nie stanie, a i sam mogłem się nieraz przekonać,
że tutaj krokodyle człowieka unikają.



Ryc. 2. Konstanty Jelski. Fot. domena publiczna.

Za przyczynę tego uważać chyba należy obfitość
ryb w rzece Tumbecie, niewątpliwą bowiem jest rze-
czą, że ryby stanowią główne pożywienie krokodyla.
Nie pogardza on i większą sztuką, gdy się po temu
sposobność nawinie i biada kozom, psom lub świ-
niom, jeżeli spragnione zbliżą się do rzeki w miejscu,
gdzie krokodyle siedlisko sobie obrały. Chytry zwierz
przy samym dnie podpływa aż do brzegu, gwałtownym
rzutem chwytając ofiarę i wciąga do wody. Żołądek
wspomnianego powyżej osobnika, znajdującego się
obecnie w Warszawskim Gabinecie Zoologicznym,
zawiera całkowity szkielet nogi muła razem z łopatką;
kości były jeszcze złączone więzami. Niemożna jed-
nakże stąd wnioskować, aby muły lub konie napadał,
mógł bowiem w danym wypadku trafić na trupa, wy-
rzuconego do rzeki.

Złą sławę mają krokodyle Guayaquilu i La Chi-
ry; podobno co rok trafiają się tam smutne wypadki,
szczególniej pomiędzy dziećmi, które nierozważnie
kąpiąc się w rzece, padają ofiarą tych potworów.
W Guayaquilu krokodyle posuwają swe zuchwalstwo
do tego stopnia, że nawet ludzi na łądzie atakują.
Wiele osób, widząc niezdarne kształty krokodyla, są-
dzi, że gad ten bardzo ociężale porusza się na ziemi.
Rzecz się ma inaczej i dziś wiadomo, że człowiek może
uniknąć krokodyla jedynie opisując koła, sztywne bo-
wiem ciało potwora wielce utrudnia mu zawracanie
na bok. Znałem pewnego Dalmatę, marynarza ze
statku wielorybołówczego, który, będąc raz napad-
niętym przez krokodyla w Guayarmilu, życie swe tym
sposobem ocalił, że w biegu ściągnął z siebie kurtkę
i krokodylowi rzucił. Ten, myśląc zapewne, że to ofia-
ra, chwilkę się zabałamucił, co dało możliwość ściga-
nemu dobiec do pobliskich drzew, na których znalazł
schronienie.

Zwierzęta domowe instynktownie czują nie-
bezpieczne sąsiedztwo i niechętnie zbliżają się do
wody; najwięcej jednak przebiegłości okazują psy
nad rzeką La Chira, jeżeli można wierzyć opowia-
daniu pewnego deputowanego z Piura, który nam
o tem opowiadał w domu ziomka naszego pana Mali-
nowskiego. Gdy w skwarne godziny dnia pragnienie
zaczyna im silniej dokuczać, zbierają się gromadnie
nad brzegiem rzeki i zaczynają szczekać, zwabiając
tym sposobem krokodyle z całej okolicy. Gdy miar-
kują, że czas odpowiedzi nadszedł, puszczają się
marsz-marsz na inne miejsce, gdzie szybko gaszą
pragnienie i jeszcze szybciej umykają. Opowiadaniu
temu można dać wiarę, znając tak liczne przykłady
zmyślności psów.

Krokodyle prawie cały dzień spędzają na brzegu,
nieruchomie leżąc z paszczą otwartą, podobne do
kłód drzew zwalonych. Omyliłby się jednak, kto by
sądził, że krokodyl nie czuwa podczas tego spoczyn-
ku. Organy słuchu, a głównie węchu tak są u niego
rozwinięte, tak czułe, że dość jest oddalonego bar-
dzo szmeru lub wiatru sprzyjającego, aby go zbu-
dzić. W ciągu 5-iu ekskursyj w Santa-Lucia nieraz
miałem sposobność przekonania się o wysoce roz-
winiętych zmysłach krokodyla. Polowania swoje po
większej części odbywałem w czółenku, do którego
żagiel dorobiłem, aby korzystać z wiatru, o ile na
to pozwalał kierunek kanału. Znajdował się pewien
kanał w bliskości naszego domu; w głębi tego ka-
nału obrał sobie siedlisko wielki krokodyl. Wieleż ja
razy z rozpiętym żaglem, bez najmniejszego szmeru
wjeżdżałem tam, chcąc go na strzał podjechać.
Zawsze bezskutecznie! Dość było skręcić tylko do uj-
ścia kanału, a już ostrożny zwierz, odległy jeszcze na

300 kroków zamykał paszczę, podnosił się nieco na nogach i zwolna, niespiesząc się wchodził do wody, pod której powierzchnią znikał. Widocznie ten sam wiatr, który żagiel mego czółenka wydymał, ostrzegał go o zbliżającym się niebezpieczeństwie.



Ryc. 3. Tak wyglądał Jan Sztolerman (po lewej) podczas pobytu w Peru i Ekwadorze. U jego nóg pies Dżok, który uczestniczył we wszystkich wyprawach w latach 1877–1884. Obok Józef Siemiradzki. Zdjęcie wykonane podczas wyprawy do Guayaquil w Ekwadorze w 1883 r. Fot. domena publiczna.

Raz jednak pomimo całej ostrożności, udało się nam podejść krokodyla na odległość 2 kroków. Znałem pewną wyspę, gdzie na małej ogłoczonej przestrzeni brzegu, pośród gąszczu manglowego, zawsze wychodził dość duży krokodyl, każdy bowiem z nich lubi zawsze na jednym i tem samym miejscu swe sjęsty odbywać. Wracaliśmy właśnie łodzią z miasteczka, ja u steru, p. Jelski na nosie, a droga nasza wypadła koło tej właśnie wyspy. Gdyśmy się do niej zbliżali, ostrzegłem towarzysza mego, aby się cicho sprawował i wiosłowania zaprzestał, ja zaś puściłem łódkę z prądem wody tuż koło brzegu. Płynęła tak cicho,

jak tylko może płynąć kłoda drzewa, przez nurt wody niesiona; nie było też wiatru, mogącego nas zdradzić wobec czujnego zwierza. Między nami, a potworem znajdował się wielki krzak manglowy, zwieszający swe gałęzie ponad samą wodą. Gdyśmy już krzak ten mijali, skręciłem raptownie łódkę do brzegu. Oczekiwania moje nie zawiodły mnie. Już, już nos łódki miał dotknąć zwieszającego ogona potwora, gdy krzyknął do mego towarzysza: – A dajże mu pan wiosłem porządnie! I jeszcze chwila, a podły zwierz oberwałby silne uderzenie. Lecz szybki jak błyskawica w swych ruchach zwałił się do wody, która zakotłowała się od tego upadku. Prawdę powiedziawszy, był to z naszej strony krok trochę nierozważny, spłoszony bowiem zwierz mógł rzucając się do wody, łódkę wywrócić, a wówczas mybyśmy niepotrzebnej kąpieli użyli, a wiele rzeczy, jakimi łódź nasza była naładowana, poszłoby bezpowrotnie na dno.

Pobyt nasz w Santa-Lucia dal nam możliwość sprawdzenia sposobu, w jaki krokodyl jaja swe zagrzebuje. Nasz gospodarz, Agapit Espinoza, pełniący obowiązki strażnika celnego, co mu bynajmniej nie przeszkadzało zajmować się kontrabandą, oznajmił nam pewnego razu, że zna miejscowość, w której wedle wszelkiego prawdopodobieństwa samica zniosła jaja. Uzbroiwszy się więc w rydel, pojechaliśmy we trzech łodzią na wyspę, zwaną La Condesa, gdzie się owo gniazdo krokodyla miało znajdować. P. Jelski i ja uzbrojeni byliśmy w strzelby, kulami nabite, chodząc bowiem wieści, że samica jaj broni i że nawet dość jest jednym jajem trzecio drugie, aby ją na to zwabić.

Wieść ta okazała się później fałszywą, przynajmniej co do krokodyli z Tumbezu.

Przybywszy na miejsce, znaleźliśmy przestrzeń jakich 60 kroków kwadratowych, zrytą i skopaną na wszystkie strony. Leżała ona w bezpośrednim sąsiedztwie niewielkiego kanału. Samica wychodziła tu podobno w czasie odpływu, aby się grzać na słońcu. Gdy my dwaj z kurkami podniesionymi i palcem na cynglu pilnie obserwowaliśmy brzegi kanału. Agapit kopał ziemię, szukając jaj. Skopał już był całą podejrzaną przestrzeń, już nam się zdawało, że poszukiwania nasze do niczego nie doprowadzą, gdy natrafił na gniazdo. Jaj było 48. wielkości prawie tej samej co gęsie, tylko bardziej walcowatego kształtu i o skorupie chropowatej. Przesypane piaskiem, leżały w niewielkim i nieco skośnie wykopanym dołku, mającym około 40 centymetrów głębokości. Piasek, pomimo niskiego poziomu dołka i blizkiego sąsiedztwa wody, był zupełnie suchy. Samica przez cały czas operacji niczym obecności swjej nie zdradziła.

Jaja przynieśliśmy do domu w umyślnie na ten cel sprowadzonej miednicy i równo podzieliliśmy się niemi. Przy wydmuchiowaniu okazało się, że były już bardzo załęgnięte i wydzielaly silny odór piżma, krokodylom właściwy. Skorupa jaj jest gruba i mocna o powierzchni w wysokim stopniu chropowatej. Zapach piżma skorupy nawet po wyschnięciu zachowały.

Młode, świeżo wyklute krokodyle trzymają się gromadnie po brzegach wód, umykając za zbliżeniem się nieprzyjaciela. Przypuszczam, że ich mnóstwo w młodości ginąć musi, liczba bowiem starych nie odpowiada bynajmniej ogromnej liczbie jaj, jakie każda samica niesie, choćby każda z nich niosła się raz tylko w ciągu całego życia. W Tumbecie liczba krokodyłów bardzo jest ograniczona, pomimo, że ich tam nikt przedtem nie prześladował. Kto wie, czy młodych samce nie zjadają. Za wczesną śmiercią krokodylątek przemawiać się zdaje i ta okoliczność, że podrostki mierzące 1-2 metrów długości są bardzo rzadkie i zawsze spotykają się pojedynczo.

Pewnego dnia, płynąc jednym z kanałów, spostrzeżliśmy na powierzchni wody tuż pod samym brzegiem mnóstwo główek małych krokodylątek. Była to widać niedawno wyprowadzona jedna całkowita rodzina. Strzeliłem do nich z odległości 20 kroków drobnym śrutem, zwanym „maczkim” (dunst). Strzał był bardzo szczęśliwy, bo zostało 13 egzemplarzy zabitych lub tak silnie ranionych, żeśmy je wziąć mogli. Reszta zniknęła pod wodą, lub rozproszyła się. Podczas, gdy z łodzi łowił zabite i ranione egzemplarze, mój towarzysz pilnie obserwował okolicę w obawie, aby nas matka znieścacka nie napadła, gdyż przypuszczaliśmy, że choć jaj nie broni, jednakże może ujmuje się za żywym potomstwem. I te jednak obawy okazały się płonnymi.

Złowione krokodylki, z których wiele objawiało jeszcze ślady życia, były od 5 do 10 cali długie. Przyniósłszy je do domu natychmiast włożyliśmy do spirytusu, aby żyjącym cierpień ukrócić. Jakież jednak było zdziwienie moje, gdy w cztery godziny potem, rozpruwszy brzuch i piersi jednego z osobników, aby uprzystępnąć przenikanie spirytusu, spostrzeżłem, że serce jeszcze bije swem miarowym tętnem. Dowodzi to, jak wielką żywotnością są obdarzone te stworzenia, skoro 4-godzinny pobyt w 30-stopniowym (Cartier) spirytusie nie wystarcza do ich zabicia.

Przez ciąg mego pobytu w Tumbecie dwa razy miałem sposobność chowania młodych krokodylątek, oba jednak razy próby moje zrobiły fiasko, wychowawcy bowiem przy pierwszej zdarzonej sposobności uciekały mi po kilku zaledwie dniach niewoli. Zresztą

są to stworzenia niezbyt nadające się do chowania. Małe potworki za zbliżeniem się naszym otwierały paszczę, a z chytrych, kocich oczków widać było wielką chęć chwycenia za palec nierozważnej ręki, któraby się do nich zbliżyć odważyła.

Niejeden z was, czytelnicy moi, słyszał zapewne o ciekawym obyczaju siewki egipskiej (Pluvianus aegyptius) wchodzenia do otwartej paszczy krokodyłów, gdzie ma podobno łowić obficie zbierające się tam owady. Jakkolwiek ani p. Jelski, ani ja nie zauważyliśmy nic podobnego u krokodyla Guayaquilskiego, pomimo, że go nieraz z rozwartą paszczą obserwowaliśmy, niemniej jednak polegać możemy na powadze znakomitego podróżnika włoskiego po Peru, prof. Raimondiego, który nam opowiadał, że nad rzeką La Chirą na własne oczy widział podobny wypadek u tamtejszych krokodyłów. Szkoda tylko, że szanowny uczoney dla znacznej odległości nie mógł rozpoznać do jakiego rodzaju należy ptak wchodzący do paszczy tego krokodyla. Przypuszczam, że to będzie albo *Charadrius virginianus* albo *Aegialites nivosa*.

W Tumbecie polowanie na krokodyle jest połączone z wielu trudnościami, ostrożne te bowiem stworzenia, jak to już wyżej powiedziałem, nielato dają się podejść, na dalszą zaś odległość, pomimo wielkiej masy cielskiej, trudno zadać śmiertelny postrzał, gdyż powierzchnia miejsc czułych, a lepiej może powiedzieć ośrodków życia, bardzo jest ograniczona. Nieprawdą jest jakoby kula nie była w stanie przeniknąć pancerza, pokrywającego ciało tych gadów, wszędzie, żywotność jednak krokodyla tak jest wielka, że dla dostania go trzeba trafić albo w mózg, albo w kręgi szyi, albo w serce. Mózg krokodyla bardzo jest mały jak na tak wielkiego zwierza. Egzemplarz 4-metrowy posiadał cylindryczną masę mózgu na jakie 5 cali długą, przy calowej może średnicy. Kręgi szyi przedstawiają wprawdzie dość grubą masę, rdzeń jednak w nich zawarty dość jest cienki, kula więc z łatwością może nadwerężyć kość niezadrasnąwszy rdzenia. Nic więc dziwnego, że krokodyl przesztyty licznymi nawet kulami jest w stanie uciec do wody, a nawet wyleczyć się, jeżeli jeden z przytoczonych ośrodków nie został zadraśnięty.

O tych szczegółach nic jeszcze nie wiedzieliśmy, gdyśmy w połowie Lutego 1876 roku wybrali się z miasteczka Tumbezu do ujścia rzeki, aby na krokodyle zapolować. Wziąwszy ze sobą do pomocy tegiego mulata, Antoniego Anteparę, płynęliśmy wesoło wdół rzeki, ufni w jaknajlepszy skutek wyprawy. Aby nas jednak niepowodzenie zastało przygotowanymi, wzięliśmy wszystko, co do preparowania

ptastwa jest niezbędne, myśląc zapolować na czaple, kuliki, siewki, ibisy i inne ptaki w wielkich ilościach uczęszczające na manglowe melizny u ujścia rzeki.

Przybywszy do Cucarachy ulokowaliśmy się w chacie kapitana portu, który nas obyczajem peruwijańskim bardzo gościnnie przyjął, a zarazem wydał rozkaz do natychmiastowego przygotowania rządowej szalupy, aby nie tracąc czasu dnia jeszcze tego wyjechać na polowanie. Dzień ten jednak okazał się dla nas nieszczęśliwym, powróciliśmy bowiem do domu bez dania strzału. Również i dzień następny zeszedł na niefortunnych próbach podjeżdżania ostrożnych gadów.

Trzeciego dnia po śniadaniu wyjechaliśmy łodzią we cztery to jest pan Jelski, ja, Antepara i jeden z marynarzy, należących do otoczenia kapitana portu. Zostawiwszy pana Jelskiego na zasadzce w takim miejscu, gdzie miało zwyczaj wychodzić na łód kilku krokodyłów, we trzech pojechaliśmy do głównego ujścia rzeki. Tam na obszernym piaszczystem pobrzeżu leżało 14 krokodyłów w różnych od siebie odległościach. Największe z nich mogły mieć do 5 metrów długości. Wsiadłszy zdała od nich, przywiązaliśmy łódź do brzegu i zaczęliśmy je ostrożnie podchodzić od strony łądu. Jakoż udało mi się zejść jednego wielkiego na odległość kilkudziesięciu kroków, okazało się jednak, że strzelba od dnia poprzedniego nabita dała strzał spóźniony i kula poleciała Bóg wie dokąd. Na strzał potwór rzucił się do wody i szybko oddalał się od brzegu trzymając według zwyczaju głowę na powierzchni, a ciało pod wodą. Jak zwykle w takim razie było mu widać tylko nos, a za nim w pewnej odległości oczy. Strzeliłem z drugiej lufy i chybiłem: kula tuż obok potwora uderzyła o wodę. Na te dwa strzały wszystkie krokodyły w pobliżu się znajdujące, puciekały do wody; tylko 3 lub 4, wylęgające się przy samym ujściu rzeki do morza nie zwróciły na to uwagi, prawdopodobnie dla znacznej odległości.

Zacząłem je podchodzić. Gdy się zbliżył na małą odległość, najbliższy odemnie krokodyl rzucił się do wody i zaczął płynąć o jakie 40 kroków od brzegu. Strzeliłem, mierząc w widoczne ponad wodą oczy. Znać było, że strzał był celny, gdyż zwierzę zamiast się zanurzyć, płynął, unoszony prądem ku morzu, aż póki nam z oczu nie zniknął. Rozdrażniony tem niepowodzeniem, wróciłem do łódki, dając po drodze jeszcze jeden strzał do pływającego krokodyla. Zdaje się, że go kula ugodziła, gdyż strasznie się rzucił, aż się woda wkoło zakotłowała.

Następnego dnia wracający z polowu rybacy dali nam znać, że na jednej z melizn w ujściu rzeki

widzieli trupa krokodyla. Widocznie przyplływ morski wyrzucił tego, któremu wczoraj ugodził. Zabrawszy więc linę udaliśmy się we cztery do miejsca wskazanego nam przez rybaków. Objechawszy wkoło wyspę w części pokrytą manglami, a w części mimozami i akacyjami, spostrzegliśmy w dali na meliznie bielejący trup krokodyla; leżał do góry brzuchem. Trzeba wiedzieć, że te melizny ryzoforowe są utworzone z błota bardzo grzęzkiego. Rozebrawszy się więc do naga, poczłógaliśmy się we cztery na brzuchach, stąpając bowiem, całe nogi grzęzną, a nawet są miejsca, gdzieby się człowiek mógł zanurzyć. W krytycznym położeniu znajdował się pewnego razu p. Jelski w Guyanie francuskiej zaawanturowawszy się na takiej meliznie i mało życiem nie przyplacił swego ornitologicznego zapła.

Podczłógawszy się do krokodyla, spostrzegliśmy, że już do wypchania zdatnym być nie może, tój bowiem jednej doby wystarczyło pod równikowem słońcem, aby rozkład nastąpił. Postanowiliśmy go jednak zabrać, wiedząc, jak cenną rzeczą jest w Europie szkielet krokodyla. Założywszy mu więc linę na szyję z trudem ciągnęliśmy go, człógając się po grzęzkim błocie.

Egzemplarz ten, którego szkielet znajduje się w Zootomicznym Gabinecie Warszawskiego Uniwersytetu, miał 2 metry 70 cent. długości. Kula przeszła mu oko i zapewne mózgu dotknęła, co spowodowało ubezwładnienie ciała. Jest to jedyny krokodyl, jakiegom zabił w ciągu mych ekskursyj w Tumbezie. Później, w czasie pobytu w Santa-Lucia próbowaliśmy jeszcze kilkakrotnie polować na nie, czyto z zasadzki, czy podjeżdżając, wszystkie jednak usiłowania nasze w tym kierunku okazały się bezowocnymi; zwykle bez dania strzału wracaliśmy do domu. Zniechęcało nas to, napróżno bowiem czas traciliśmy.

Pewnego razu zjawił się u nas jakiś rybak, imieniem Damazy, oznajmiając, że za dobre wynagrodzenie podejmuje się złović parę krokodyłów na wędkę. Ułożyliśmy się więc z nim, że stosownie do wielkości krokodyla będzie i cena, tak, że za każdą varę (84 centymetry) dostanie 1 sola (5 franków). Dziwny ten sposób kupowania krokodyłów na łokcie jak płótno, wydał lepsze rezultaty, aniżeli nasze niefortunne polowania, okazało się bowiem, że rybak dotrzymał słowa i dostarczył nam dwa potężne krokodyły, z których każdy miał po 4 metry 20 centymetrow. Rybak zawarował sobie, że tłuszcz do niego będzie należał.

Nie jeden z czytelników zdziwił się niewątpliwie, przeczytawszy, że ów rybak miał łović krokodyły na wędkę. Sposób ten praktykowany w Ekwadorze jest doskonały, wymaga tylko wielkiej dozy cierpliwości

i niemalżej wprawy. Owa wędka jest to silny hak, na jakie 40 do 50 centymetrów, przywiązany do linki mogącej mieć 6 sążni długości. Drugi koniec linki przywiązuje się do kawałka bardzo lekkiego drzewa, zwanego „palo de balza” (*Ochroma piscatoria*), mającego służyć za splawik. Hak owija się wnętrzościami koźłęcia, wołu lub innego zwierzęcia i puszcza się na wodę w jednym z kanałów, nie mających prądu, bacząc jednak na to, aby miejsce, ku temu wybrane, uczęszczane było przez krokodyle. Rybak w swęj małej łódeczce kryje się gdzieś wpoblizu wśród gąszczu manglowego i czeka cierpliwie póki mu gwałtowne poruszenia splawika nie dadzą znać, że krokodyl przynęte uchwycił. Nie śpieszy się jednak, aby dać czas gadowi do zupełnego połknięcia haka. Podjeżdża wówczas i koniec linki przywiązuje do najbliższego drzewa; poczem zwolna, męcząc swą zdobycz podciąga ją ku sobie. Ta rzuca się strasznie, gdyż jęj hak wnętrzości rani, w końcu jednak człowiek zostaje panem potwora, którego krótko do drzewa przywiązuje.

Drugi sposób, „con el casonete” zwany, tem się tylko różni, że zamiast haka używa się kijka i z bardzo mocnego drzewa, na obu końcach zaostzonego. Kijek ten zwany casonete ma około 1 stopy długości. Pośrodku kijka przywiązuje się linka. Do zastawienia casonete składa się w ten sposób, że połowa jego przylega do linki, druga zaś stanowi jęj przedłużenie. Tak ułożony kijek owija się wnętrzościami. Gdy potwór połknie przynęte, casonete staje na poprzek w żołądku, w którego ścianki wpijają się ostre jego końce. Tym sposobem zwierz nie jest w stanie oswobodzić się od połkniętego kijka i staje się pastwą człowieka.

Pierwszego z dwu dostawionych krokodyłów złowił Damazy dnia 5 Grudnia 1876 roku powyżej Cucarachy. Pojechaliśmy po niego dwiema łodziami, aby złączonemi silami sprowadzić go do Santa-Lucia. Na brzegu wśród trawy leżał potwór kolosalnych rozmiarów - tak może długi, jak egzemplarz Warszawskiego Gabinetu, znacznie jednak odeń grubszy. Ciało pokrywały pąkle (*Balanus*) i pleśń zielona. Na nieszczęście wspaniały ten okaz był niekompletny, brakowało mu bowiem ze 2 piędzi ogona. Zastrześliwszy go sprowadziliśmy do domu, przywiązując pomiędzy dwiema łodziami tak, aby pod samą powierzchnią wody był zanurzony.

Godnem jest uwagi, iż żaden z dotychczasowych podróżników po krajach zwrotnikowych nie podał dokładnego sposobu preparowania skór krokodylich, a to, co w tym kierunku uczyniono, nie odpowiada swemu celowi. Mając najnowszy „Przewodnik dla podróżników” zredagowany pod

kierunkiem D-ra Neumayera przez pierwszorzędnego powagi Niemiec, poszukaliśmy w nim działu o gadach i rybach, opracowanego przez p. Gunthera, dyrektora Muzeum Brytańskiego i znanego ichtyologa. Znakomity ten uczone nie wielką musi mieć praktykę w konserwowaniu skór zabitych zwierząt, radzi bowiem alunować skórę krokodyla, czaszkę jednak oszczędzać, aby w razie zepsucia się skóry, można było choć głowę na szkielet obrócić, gdyż czaszki krokodyle stanowią rzadkość w zbiorach osteologicznych. Już z tego czytelnik może wnioskować o wartości sposobu, przy którym należy przewidywać zepsucie. P. Jelski, który bezwątpienia należy do najdoświadczeńszych preparatorów, zdecydował odrazu o niemożności alunowania skóry, wychodząc z tej zasady, że koścista część łusk, leżąca między skórą właściwą i naskórkiem, nie dozwoli alunowi przeniknąć do tego ostatniego i nie powstrzyma jego odstawania.

W takiej więc alternatywie byliśmy zmuszeni wynajdywać sposób preparowania, który na pierwszym egzemplarzu udał się niezupełnie, a dopiero na drugim wydał pożądaną rezultat. Sposób ten, jako według naszego zdania jedyny przy preparowaniu skór krokodylich, przeznaczonych do zbiorów zoologicznych, podaję tu w krótkości, aby mógł kiedyś posłużyć jakiemu podróżnikowi, znajdującemu się w tem samem co my, położeniu.

(Dokończenie.)

Cięcie w brzusznej stronie prowadziliśmy od wierzchołka szczęki do końca ogona, a od tego cięcia cztery inne prowadziliśmy wzdłuż wewnętrznej strony nóg, aż do końca palców. Na zuchwie oddziela się skórę pokąd można, wszystkie zaś dolne kości czaszki wylupuje się przy pomocy dłuta i młotka, aby dostać się do mózgu, oraz miękkich części nosa i oczu; wierzchniej skorupy czaszki nie należy tykać, aby kształtu głowy nie zepsuć. Oprócz kości czaszki, zachowuje się kości nóg, skórę, zaś starannie oczyszcza z mięsa. Następnie soli się ją i wystawia na słońce; aby zaś suszenie przyspieszyć, lepiej jest rozciągnąć ją na wzniesieniu z drągów, przez co umożliwia się przystęp powietrza od spodu. Naskórek na całej głowie należy gęsto szydelkiem nakławać, między nim bowiem i kością zostaje się dużo wilgoci, mogącej spowodować jego odstawanie. W ten sposób skóra w ciągu 3 do 7 dni zupełnie wysycha, poczem odpowiednio złożoną, aby jaknajmniej miejsca zajmowała, należy zapakować do skrzyni cynkowej i zalutować hermetycznie, wybierając na to dzień suchy, słoneczny.

Skóra pierwszego z dwu zdobytych krokodyłów, a przeznaczonego do Muzeum Limańskiego nie udało się dlatego, żeśmy nie nakłuli głowy, na której odstał naskórek. Nauczeni tem, odpreparowaliśmy drugą skórę, wprowadzając to ważne ulepszenie, a rezultat odpowiedział wszelkim oczekiwaniom. Przytoczony sposób wbrew radzie Gunthera każe zniszczyć część czaszki, czyniąc ją niezdatną do zbioru osteologicznego, lecz zato zapewnia zachowanie skóry. Uczynię tu jednak uwagę, że przy niepogodzie mógłby i ten sposób zawieść, lecz w takim razie nie widzę innego.

Egzemplarz znajdujący się w Warszawskim Gabinetie Zoologicznym został złowiony dnia 18 Stycznia 1877 r. przez tegoż samego Damazego. Stary przywiązał go na brzegu i dał nam znać, abyśmy mu na pomoc przyjechali. Miejsce, gdzie potwór został złowiony, znajdowało się o półtoręj wiorsty od samego domu w Santa-Lucia, przeto Damazy zdecydował się pociągnąć żywego krokodyla w nadziei, że mu mniej zada pracy, niż pierwszy, któregośmy na miejscu złowienia zastrzelili. W tym więc celu potrzeba go było jeszcze paru linkami przymocować, z których jedne przeprowadził zręczny rybak pod pachami krokodyla, drugą zaś okręcił poza wydętą częścią nosa. Przy tej operacji, gdyśmy we trzech (p. Jelski, ja i syn Damazego) trzymali potwora, ten rzucił się tak gwałtownie, że nas o mało do wody nie wciągnął.

Trzeba było widzieć tego starca, jak razem z synem w wątlęj małej łódeczce holowali olbrzymiego gada. Ponieważ odbywało się to bardzo wolno, przeto pojechaliśmy z p. Jelskim naprzód, aby kazać sporządzić wieczerzę dla rybaków. Ci zaś dopiero o późnym zmierzchu przybyli razem ze swą żywą zdobyczą, którąśmy do jednego ze słupów opuszczonego domostwa przywiązali.

Następnego dnia, zabijając tego krokodyla, mogliśmy się przekonać o wielkiej jego żywotności. Pierwszy strzał był kulą eksplodującą, chciałem się bowiem przekonać, czy tego rodzaju pocisków można skutecznie używać w polowaniu na krokodyla. Nie wątpiąc, że eksplozja kuli spowoduje śmierć natychmiastową, strzeliłem a bont portant w komorę gada. Potwór drgnął tylko i rozwarł szeroką paszczę, wydając chrapliwe tony a jednocześnie wyrzucając obficie gardłem spiekłą krew. Żył pomimo to i oddychał ciężko, a przy każdym skurczeniu klatki piersiowej, wydobywał się dziurą od kuli dym, z eksplozji powstały. Przy sekcji okazało się, że płuca miał poszarpane i popalone, a stos kręgowy silnie wstrząśnięty i nadwerężony. Dopiero drugi strzał zwykłą kulą skierowany, gruchocząc kręgi, położył kres żywota tego wstrętne zwierza. W żołądku

oprócz wspomnianej powyżej nogi muła miał przynajmniej kilkanaście funtów żwiru, który mu zapewne do trawienia kości pomaga.

Przy całej swój ohydzie i szkodności krokodyl nie przynosi człowiekowi prawie żadnej korzyści, trudno bowiem przywiązywać wielką wagę do skóry, która choć odznacza się niezwykłą mocą a w wyrobach szewstwa nie ma równej sobie, dla wielkiej jednak trudności dostania jej nigdy ważnej roli nie odgrywa w przemyśle europejskim. Wspomnę też, że w owych czasach, kiedyśmy krokodyla preparowali, zaczął w Limie wchodzić w użycie tłuszcz tych gadów, mający jakoby większe usługi w chorobach piersiowych oddawać, niż osławiony tran z wątroby dorsza. Ta widać okoliczność skłoniła Damazego do podjęcia się lowów, owe bowiem 25 franków, płacone przez nas za każdy egzemplarz nie bardzo mogły mu się uśmiechać. Każdy ze złowionych krokodyłów dał mu kilkadziesiąt butelek szmalcu, który na miejscu sprzedawał po 6 fr: butelka, gdy w Limie podówczas płacono po 10 fr. Co do leczniczej wartości tego tłuszczu, to zdaje mi się, że jest przesadzoną, a może nawet jak wartość wszystkich tłuszczów zwierzęcych po prostu wyimaginowaną.

Dla zwolenników piżma dodam, że krokodyl jest w nie suto zaopatrzony, posiadając 3 pary gruczołów piżmowych na brzusznej stronie ciała. Piżmo to tak przenikliwy posiada odór, że w Santa-Lucia w miesiąc po zabiciu zwierza czuć je było na miejscu preparowania. Dotychczas jednak jak się zdaje żaden z fabrykantów perfum nie korzystał z tego bogatego źródła piżma, za co, jak sądzę, większa polowa cywilizowanego świata powinna złożyć dzięki Opatrzności.

Teksty wybrał i przygotował Jerzy Vetulani (Kraków)